Nr. 23. Lwów, dnia 15. lipca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA **Lwów, pl. Marjacki 6.**

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

ZBIEG.

PRZYGODA PANA JANKLA GIPS

przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.*)

Droga ciągnęła się wśród lasu, była wązka i kręta, pełna twardych korzeni nad powierzchnią ziemi wystających i dołów, w których zbierała się woda deszczowa.

Nie był to gościniec ani trakt publiczny, ale prywatna dróżka przez las; dość uczęszczana jednak, gdyż właściciel lasu przejazdu nie wzbraniał, a jadąc przez nią omijało się kilka wiorst piasku i zepsuty most, wlokły się więc przez nią wózki chłopskie i biedki żydowskie, a czasem nawet spotkać było można na niej i bryczkę, jeżeli podróżnemu szło bardziej o pospiech, aniżeli o całość własnych kości.

Był ładny wieczór lipcowy, powietrze czyste, świeże, rozrzewniające, tylko co po burzy.

Na trawie, na paprociach, na krzakach, na liściach drzew drgały jeszcze grube krople wody, zabarwione różowo od zachodzącego słońca. Pomiędzy pniami drzew kładły się już cienie, a na niebie od strony zachodniej przepyszne jaśniały barwy seledynów, złota, szkarłatu, purpury w najrozmaitszych tonach i odcieniach.

Ptaki otrząsały piórka i spiewały radośnie, gdzieś daleko w gęstwinie grzywacz — gołąb gruchał, kukułki odzywały się coraz...

Prześliczny wieczór i tak pogodnie, tak pięknie słońce się chowało, taki zapach rozkoszny po lesie się rozchodził, takie tajemnicze szmery i szepty drzewa pomiędzy sobą wiodły, że można było patrzeć i słuchać i napawać się tą pięknością bez końca.

Niebawem słońce zaszło, natomiast księżyc się na niebie ukazał, na pierwszej kwadrze księżyc, połowiczny, ale jasny i zapuścił blade swe promienie między konary drzew, osrebrzył wodę w rowach i kałużach, pokładł blaski na wilgotnych liściach.

Podczas tej cichej nocy jechał na dwukołowej biedce pan Jankiel Gips, kapitalista negocjant z maleńkiej mieściny. Pilno mu było; spieszył się, dążył bowiem na jarmark, a jeszcze kilka mil drogi miał przed sobą.

Na dobrego konia bagatela to, ale szkapa Janklowa bardzo była już sfatygowana i nie młoda. Jadała nie wiele, a chodziła bardzo powoli i Jankiel zgadzał się na to, gdyż stratę czasu wynagradzał oszczędnością na sianie i owsie. Wyjeżdżał zwykle z domu o kilka gogodzin wcześniej, wracał o kilka godzin później, a gdy go powoływał nadzwyczaj pilny interes, to pomny na zasadę, że kto smaruje ten jedzie, smarował szkapinę biczem, aż sierść z niej leciała i krzyczał wio! wio! z całej mocy... Te energiczne środki wzbudzały w wygłodzonem

*) Ze zbioru pism nieodżałowanego autora.

bydlęciu ruch umiarkowanie przyspieszony, ale na bardzo krótko...

Wreszcie i Jankiel nie mógł długo biczem machać, ręka mu omdlewała i czuł się zaraz bardzo sfatygowanym.

Miał słuszność, bo wywijanie kozicą to robota dla chłopa, lecz nie dla porządnego kupca i kapitalisty.

I teraz spieszy na jarmark, Jankiel już się zupełnie z sił wyczerpał, wetknął więc bicz w słomę, puścił lejce i zakląwszy na swój zły los, postanowił się cokolwiek posilić.

W tym celu nabił swoją porcelanową fajkę tytuniem, zapalił ją i delektował się dymem.

Innego środka pokrzepienia sił przy sobie nie posiadał, chociaż biedka jego była naładowana porządnie rozmaitym towarem tak, że musiał dobrze nogi podkulać, żeby się w niej utrzymać.

Było w niej półkorca żyta, cała ćwierć grochu, dwa garnki masła, koszyk jaj i spore żywe cielę.

Z tym towarem właśnie pan Jankiel Gips spieszył na jarmark i rozmyślał.

Tematu dostarczyła niedawna burza i ślady, jakie pozostawiła po sobie, przyrównywał ją w myśli do wielkiego jarmarku. Turkot, hałas, szwargotanie, gwałt, rejwach, łomot, wielki rozlew... trunków.

Bardzo ładny jarmark! za wyjątkiem piorunów, które wcale nie są potrzebne. I las po burzy wygląda, jak miasteczko po jarmarku... Jest w nim trochę nieporządku — trawa i różne ziele jakby podeptane, małe krzaczki potargane, jak chłopskie czupryny po awanturze w karczmie, gdzie niegdzie powalone drzewo leży akurat jak pijak, co krowę sprzedał i z tego powodu cokolwieczek oko sobie zaprószył.

Jankiel palił fajkę, robił w myśli porównania, czasem przyspiewywał sobie półgłosem, a szkapa łeb zwiesiwszy wlokła się powoli, niby śpiąca...

Jankiel kombinował, że nawet przy tak małym pospiechu zdąży na jarmark. Jeszcze nie ma północy, na piątą rano można dojechać, a jeżeli nie na piątą, to na siódmą, w najgorszym razie na dziewiątą, przypuśćmy, że na pół do jedenastej i to właśnie będzie sam czas, największy gwałt i ruch, prawdziwa burza.

Pomyślawszy o burzy Jankiel spojrzał na niebo, jakby w obawie, że ona może powrócić... ale nie, nie zanosiło się na to.

Owszem, gwiazdy błyszczały, jak złote dukaty, rozłożone na jakimś olbrzymim stole, tylko księżyc już uciekał z góry.

Taki młody księżyc ma swoje fanaberje, wstaje bardzo uczciwie i wcześnie z nieba schodzi; zamiast świecić w nocy, świeci w dzień. Niekiedy zasłania go chwilowo mała chmurka, biała jak gęś, przeleci pod nim, biegnie dalej, sama nie wie po co, jak... gęś.

Jest trochę chłodno: Jankiel podniósł kołnierz od kapoty, zacisnął mocniej pas bawełniany, fajkę schował w kieszeń, ręce w rękawy i uczuł, że mu się zbiera na sen. Bardzo dobrze, niech się zbiera. Najlepiej jest spać w drodze, właściwie nie najlepiej ale najkorzystniej.

Spanie dla spania wygodne wielki pan może mieć co dzień, ja handlujący człowiek raz na tydzień z piątku na sobotę i w sobotę w dzień. Inne noce najkorzystniej jest przepędzać na wozie, bo człowiek spi, wypoczywa, a pomimo tego posuwa się naprzód i z każdą chwilą przybliża się do celu... Nie zawsze to wygodne, ale możliwe, zwłaszcza, gdy się ma konia niemłodego, spokojnego, a do drogi nocnej przywykłego. Szkapa Jankla te przymioty posiadała w wysokim stopniu. Nie wydarzyło jej się nigdy, żeby wzięła na kieł i poniosła, wolała ona stać, niż chodzić, a najlepiej lubiła położyć się i stękać.

Taki temperament flegmatyczny.

Jankiel wiedział dobrze, że może zaufać tak szlachetnemu zwierzęciu, wtulił więc głowę w kołnierz, czapkę na czoło nacisnął i zdrzemnął się zaraz, a potem usnął na dobre...

W godzinę później księżyc pozazdrościł Janklowi spoczynku i zeszedł z warty; ściemniło się zupełnie, tylko gwiazdki mrugały na niebie!

Nagle szkapa stanęła.. Jankiel się przebudził, krzyknął wio! i po bicz sięgnął... Biedka nie posunęła się naprzód, pomimo krzyku i energicznych nazw... i co dziwniejsza koń gwałtownie zaczął się cofać. Wydało się to Janklowi podejrzanem, zsiadł przeto, aby się rozpatrzeć w sytuacji i zbadać, co się stało.

Ogromne drzewo, powalone przez burzę, leżało na poprzek dróżki, tak, że przejechać nie było sposobu.

Ale Jankiel nie łatwo ustępował. Wiedział on dobrze, że gdy nie można przeskoczyć, to trzeba ominąć, postanowił więc ominąć.. ale tu znowuż z jednej strony dróżki rów pełen wody, z drugiej krzaki tak gęste, że chcąc przez

nie przejechać, można było narazić szkapę na postradanie jedynego oka, jakie jej z lepszych czasów pozostało.

Jankiel zaczął mocno trzeć czoło i różne obmyślać projekta.

Najwłaściwiej trzeba było zawrócić i tą samą drogą, którą się przyjechało, dotrzeć do gościńca, ale na gościńcu wielki piasek i znacznie dalej tamtędy i trudno będzie zdążyć.

Jankiel zaklął. Głupi, bezduszny kawał drzewa mógł mu zepsuć cały jarmark, zburzyć całkowicie obmyślane kombinacje...

Spojrzał na prawo — woda, na lewo zagajnik sosnowy zwarty, gęsty, jak żywopłot Przejechać przez niego ani marzyć.

Woda wprawdzie nie może być głęboka, bo nie rzeka to, ani strumień, ale zwyczajny rów, zwykle bywa on suchy, teraz po burzy i ulewie napełniła go woda. Za dwa dni woda zniknie, ale za dwa dni będzie też po jarmarku.

Jankiel biczyskiem badać zaczął, jak woda jest głęboka. Nie bardzo trochę za kolana, nie będzie nawet do pasa, a za rowem las rzadki, można przeklęte drzewo objechać i na dróżkę się dostać.

Wszystko to Jankiel szybko skombinował i postanowił bądź co bądź biedę swoją przez rów przeprowadzić; nie chcąc się jednak zamoczyć, ukląkł na workach i niedowierzając szkapie, wziął krótko lejce do ręki i sam ją na rów skierował.

Rów był szeroki o brzegach niespadzistych, więc przeprawa żadnego nie przedstawiała niebezpieczeństwa i byłaby się doskonale udała, gdyby Jankiel zdał się na koński instynkt, ale jak zaczął spekulować na prawo i na lewo, biedka przechyliła się mocno na bok i cielak związany wpadł do wody...

Jankiel krzyknął z przestrachu i byłby wypadł również, ale cudem jakimś równowagę utrzymał. Uderzył z całej siły szkapę biczem, żeby biedę co rychlej na drugą stronę rowu wywlokła i pomyślał, że za takie ładne cielę byłby dostał najmniej cztery ruble.

Cielę jednak nie miało chęci marnie zginąć w wodzie, związane powrósłem słomianem za nogi, szarpnęło niemi instynktownie raz i drugi z całej siły, i słabe więzy zerwało.

Przerażone wyskoczyło z wody i beczac przeraźliwie popędziło w las.

To samo zrobił i Jankiel, skoro tylko z resztą towaru na ląd się wydostał.

Pozostawił szkapę z biedką i pobiegł gonić zbiega.

Trudna była to sprawa, cielę bowiem pędziło na oślep, a ciemność utrudniała pogoń. Była chwila, że Jankiel się zawahał i przypuszczał, że w cielęciu siedzi jaki zły duch, którego lepiej nie zaczepiać, ale wnet przyszła refleksja, że zły duch może siedzieć w cielęciu swoją drogą, a cztery ruble siedzą napewno swoją drogą, i że jeżeli dobrze jest złego ducha nie zaczepiać, to jeszcze lepiej czterech rubli nie stracić, gonitwa trwała więc dalej.

Nie jest to winą Jankla, że cielak ma lepsze nogi i zwinniejsze ruchy, aniżeli porządny człowiek, spekulant i finansista, więc w wyścigu wszystkie szanse były po stronie cielęcia, tem więcej, że pogoń odbywała się w ciemności, i że jedynie po szeleście gałązek i krzaków można się było orjentować, w jakim kierunku zbieg ucieka. Jankiel był pewny, że biegnie po linji prostej, tymczasem była to linia tak dalece krzywa, że opisywała nieforemne koło i powracała do punktu, z którego była wyszła, to jest do pozostawionej biedki i szkapy nad rowem.

Zdumiał się mocno Jankiel ujrzawszy przed sobą, zamiast cielęcia, potulne i wierne swoje bydlę, które z obojętnością przedziwną, niezważając na to, co się koło niej dzieje, skubało trawę nad rowem.

Jankiel nie zastanawiał się już nad niczem, bo i nie mógł. Zmęczony szybkim biegiem oddychał ciężko, pot wystąpił mu na czoło, w nogach czuł omdlenie; padł na trawę i wypoczywał, łowiąc uchem wszelkie szmery lasu...

Po krótkiej chwili wypoczynku podniósł się z ziemi i poszedł dróżką wprost przed siebie, wytężając wzrok i oburzając się słusznie na księżyc, który zamiast świecić podróżnym, chowa się niewiadomo gdzie i pozostawia w ciemności ludzi, spieszących na jarmark.

Rozpatrując, o ile się dało, miejscowość, Jankiel rozumował, że cielę wygłodzone, zmęczone w trzęsącej biedce i zmoczone, daleko nie pójdzie i położy się gdzie pod drzewem. Patrzył więc uważnie. Zdawało mu się, że dojrzał, zbliżył się powoli, ostrożnie, żeby zbiega nie spłoszyć, potem nagle rzucił się naprzód i padł na mrowisko. Ze złym duchem nie ma żartów, jak spotka człowieka w miejscu samotnem i odludnem, i zacznie figlować, to może zaprowadzić nie tylko w mrowisko, ale w miejsce

bardziej jeszcze przykre i paskudne. Myśl ta naprowadziła Jankla na bardzo słuszny wniosek, że poszukując żywego cielęcia, nie należy rzucać się na przedmioty, które ani oddychaniem, ani ruchem nie dają znaku życia. I w rzeczy samej — dlaczego taka prosta rzecz nie przyszła Janklowi na myśl odrazu.

Cielę nie leży jak kamień, od czasu do czasu ruszy nogą lub łbem, stęka, oddycha — trzeba więc w poszukiwaniu używać dwóch zmysłów: wzroku i słuchu. Jankiel postanowił słuchać bacznie. I znów się zastanowił. Gdzie jest napisane, że w lesie pod drzewem, leżeć ma koniecznie Janklowe cielę? Dla czego nie mógłby leżeć, dajmy na to wilk, albo inne drapieżne zwierzę? Nie! myśl o wilku Jankiel stanowczo odpędza; odpędza ją nie kijem ani batogiem, lecz siłą rozumowania, Jankiel, jako człowiek, który częste wycieczki po okolicy odbywał po lasach i nocami jeździł, i raz nawet na własne oczy, chociaż bardzo zdaleka, wilka widział, miał o tem zwierzęciu sąd wyrobiony. Wiedział on, że ów drapieżnik jest bardzo żarłoczny i bardzo sprytny, i że ma przytem wyborny węch, słuch i wzrok. Gdyby znajdował się blisko, zwietrzyłby cielę, gdyby je zwietrzył, toby je zaraz pożarł, gdyby cielę pożarł, nie zaczepiałby porządnego kupca na drodze, lecz wyniósłby się co prędzej w głąb lasu, aby się położyć w spokojnem miejscu i spać...

To rozumowanie uspokoiło Jankla zupełpełnie, splunął trzykrotnie i więcej o wilku nie myślał. (Dok. nast.)

Cztery dni Jana Gourdon.

EMILA ZOLI.

(Tłómaczone z francuskiego).

(Dokończenie)

IV.

Zima.

Styczeń posiada ponure poranki, przejmujące nas mrozem. Gdym się takiego dnia obudził, ogarnął mnie nieokreślony niepokój Odwilż nastąpiła podczas nocy. Gdy spojrzałem na wieś z progu domu, wydała mi się ona, jak wielki szmat brudnoszary, zawalany błotem i podziurawiony w wielu miejscach.

Zasłona z mgły kryła widnokrąg. Wśród tej mgły dęby alei wyciągały ponure swoje czarne ramiona, podobne do widm, stojących na straży mglistych otchłani po za niemi będących. Z dali dochodził do uszu głuchy szum Durance.

Zima ma w sobie właściwą jędrność wtedy, gdy niebo jest jasne a ziemia twarda. Powietrze szczypie cię w twarz i raźno idziesz po zamarzniętych ścieżkach, które tętnią pod nogami odgłosem srebra. Pola się rozszerzają, czyste, jak umiecione, białe od mrozu, żółte od słońca. Ale nie znam nic smutniejszego, jak ten mdły czas odwilży; nienawidzę mgły, której wilgoć cięży na ramionach.

Dreszcz mnie przeszedł pod tem niebem ołowianem i wróciłem do pokoju z pospiechem, zdecydowany nie wychodzić już w pole dnia tego. Nie brakowało roboty i wewnątrz folwarku.

Jakób wstał oddawna. Słyszałem jak gwizdał pod szopą, gdzie pomagał ludziom, noszącym worki ze zbożem. Chłopak miał już lat ośmnaście; był to wysoki zuch o silnych ramionach. Nie miał wuja Lazara, aby go psuł i uczył łaciny, nie chodził marzyć pod wierzbami nadbrzeżnemi. Jakób stał się wieśniakiem, niestrudzonym pracownikiem. Gniewał się gdym dotknął się do czego, mówił, że się starzeję i powinienem odpocząć.

A kiedym tak patrzał na niego zdaleka, istota słodka i lekka skoczyła mi na ramiona, położyła rączki na moich oczach, pytając:

— Kto to?

Roześmiałem się.

— To — rzekłem — mała Marychna, którą matka ubierać skończyła.

Ukochane dziewczątko skończyło lat dziesięć i od dziesięciu lat było rozkoszą folwarku. Przybywając na ostatku, w chwili gdyśmy się już nie spodziewali dzieci, była nam podwójnie ukochaną. Jej wątłe zdrowie czyniło ją droższą jeszcze. Obchodziliśmy się z nią jak z delikatną panienką; matka chciała zrobić z niej panią, a ja nie miałem odwagi sprzeciwiać się temu, tak miluchną była Marychna w swoich jedwabnych, wstążkami przybranych sukienkach.

Marynia nie zeszła mi z ramion.

— Mamusiu, mamusiu — wołała — chodź no zobacz, bawię się w konia.

Basia, która wchodziła uśmiechnęła się. Ach! moja biedna Basia, jakżeśmy się postarzeli! Dzieci przypominały nam młodość.

Śniadanie odbyło się w milczeniu. Musieliśmy zapalić lampę. Płowe światełka, rozciągające się po pokoju, były śmiertelnie smutne.

— Ba — mówił Jakób, lepszy ten ciepły deszczyk, niż wielkie zimno, któreby pomroziło nasze oliwne drzewa i winograd.

I próbował żartować. Ale był również niespokojny, jak my, niewiadomo czego. Basia miała złe sny. Słuchaliśmy opowiadania jej strasznych marzeń, śmiejąc się ustami, choć się serce ściskało.

— To ten czas tak nas źle usposabia — rzekłem, aby uspokoić wszystkich.

— Tak, tak, to czas · potwierdził Jakób z pośpiechem. — Dołożę kilka polan na ogień.

Płomień wesoły rzucił szerokie smugi światła na ściany. Polana paliły się trzeszcząc i pozostawiając zarzewie różowe. Usiedliśmy przy kominku; powietrze na dworze było dość ciepłe, ale w domu z sufitu spadała wilgoć mroźna. Basia wzięła Marychnę na kolana, rozmawiała z nią pocichu, rozweselając się jej dziecinnym szczebiotem.

— Czy idziesz ojcze? — zapytał Jakób. — Przejrzymy piwnice i góry.

Wyszedłem z nim. Od paru lat zbiory nasze były zmrażane zimnem; grady wybijały nam zboża. I mówiłem nieraz, żem już stary i, że fortuna, która jest kobietą, starców nie lubi. Jakób śmiał się z tego, odpowiadając mi, że on jest młodym i zacznie się fortunie zalecać.

Ja już byłem w zimie życia, w tej mroźnej porze roku. Czułem dobrze, że wszystko zamiera w około mnie. Przy każdej nasuwającej się radości myślałem o wuju Lazarze, który pozostał tak spokojny w chwili śmierci; chciałem czerpać siły we wspomnieniu o nim.

Około trzeciej. zmrok zapadł zupełnie. Zeszliśmy do wspólnej sali Basia szyła przy jednym rogu kominka, z głową spuszczoną, mała Marychna, siedząc naprzeciw ognia, z powagą ubierała lalkę. Jakób i ja zasiedliśmy przed mahoniowem biurem, pochodzącym od wuja Lazara, i zajmowaliśmy się sprawdzaniem rachunków.

Okna były jak zamurowane, mgła, przylepiona do szyb, tworzyła prawdziwy mur ciemności. Po za tym murem, zagłębiała się próżnia tajemnicza nieznana. Tylko jakiś huk wielki, głos daleki, który zapełniał przestrzeń, wznosił się w ciszy.

Odprawiliśmy robotników, pozostawiając w domu tylko starą naszą sługę, Małgorzatę. Gdym unosił głowę, przysłuchując się, zdawało mi się, że folwark zawisł w otchłani. Żaden głos ludzki nie dawał się słyszeć ze dworu, miałem tylko w uszach jakiś złowrogi huk przepaści.

Wtedy spoglądałem na moją żonę i na moje dzieci i czułem trwogę starcom właściwą, którzy widzą swą bezsilność, gdy pragną ochronić tych, którzy ich otaczają od nieznanych niebezpieczeństw.

Huk stał się ostrzejszym, zdawało nam się, że ktoś stuka do drzwi. W tejże samej chwili, konie w stajni rżeć poczęły straszliwie, bydło wydało ryk głuchy. Podnieśliśmy się, pobledli z trwogi. Jakób poskoczył do drzwi i otworzył je na oścież.

Fala wody mętnej wpadła raptem i rozlała się po pokoju.

Durance wylewała. To ona wydawała ten głos, rozbrzmiewający w dali od rana. Śniegi topniały na górach, każde wzgórze stawało się potokiem, powiększającym rzekę. Zasłona z mgły zakrywała nam to gwałtowne wezbranie.

Często po silnych mrozach, w czasie odwilży woda dochodziła do progu naszego domu, ale nigdy fala nie wezbrała tak gwałtownie. Przez otwarte drzwi widzieliśmy podwórze zamienione w jezioro. Mieliśmy już wodę po kostki. Basia podniosła małą Marychnę, która płakała, przyciskając lalkę do piersi. Jakób chciał pójść pootwierać drzwi stajni i obór, ale matka zatrzymując go za ubranie, błagała go, by nie wychodził. Woda przybywała wciąż. Popchnąłem Basię ku schodom.

— Prędko, prędko, chodźmy do górnych pokojów — zawołałem.

I zmusiłem Jakóba by przeszedł przedemną. — Opuściłem parter ostatni.

Małgorzata przerażona zeszła ze strychu, gdzie się znajdowała. Posadziłem ją w głębi pokoju przy

Basi, która siedziała milcząca, blada, ze wzrokiem błagalnym Położyliśmy małą Marynię w wielkiem łóżku; nie chciała się rozstać z lalką, zasypiała słodko, ściskając ją w ramionach. Ten sen dziecka uspokajał mnie, gdy zwrócony do nich patrzyłem na Basię, wsłuchując się w regularny oddech dziewczki, zapominałem o niebezpieczeństwie i nie słyszałem już wody bijącej o ścianę

Ale ani ja, ani Jakób nie mogliśmy nie spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy. Niepokój popychał nas, by zobaczyć postępy wylewu. Otworzyliśmy okno szeroko, wychylaliśmy się, nie zważając na to, żeśmy wypaść mogli; badaliśmy noc Mgła gęściejsza unosiła się nad wodą, tworząc drobny deszcz, przejmujący nas dreszczem. Nieokreślone tylko połyski stali odznaczały powierzchnię wód ruchliwą, wpośród ciemności. Na dole w podwórzu fala pluskała, wznosząc się wzdłuż ścian z łagodnem kołysaniem. A my słyszeliśmy tylko gniew Durance i przerażenie koni i bydła.

Rżenie i ryk tych biednych zwierząt przeszywały mi duszę. Jakób pytał mnie wzrokiem; byłby chciał spróbować ich wypuścić. Wkrótce ich śmiertelne skargi stały się przeraźliwsze i okropny trzask dał się słyszeć. Woły rozbiły drzwi obory.

Ujrzeliśmy przepływające przed nami, porwane prądem wody wirującej w jej nurtach. I znikły wśród huku rzeki.

Wtedy wściekłość mnie porwała, szalałem, groziłem pięścią Durance. Stojąc w oknie, wymyślałem jej

— Potworo! — wołałem wpośród wrzasku wód — kochałem cię, tyś była pierwszą moją kochanką, a dziś mnie okradasz, przychodzisz wstrząsać moim folwarkiem i zabierać mi moje bydło. Ach! przeklęta, przeklęta!... Potem dałaś mi Basię, przechadzałaś się łagodnie po moich łąkach. Myślałem, żeś poczciwą matką, pamiętałem, że wuj Lazar kochał twoje czyste wody, sądziłem, żem ci winien wdzięczność .. Jesteś macochą i nienawidzieć cię winienem...

Ale Durance swym piorunującym głosem głuszyła moje krzyki i szeroka, obojętna rozpościerała i popychała swoje fale ze spokojnym uporem.

Powróciłem do pokoju, ucałowałem Basię, która płakała

Marychna spała, uśmiechając się.

— Nie przestraszaj się — rzekłem do żony. — Woda wznosić się wciąż nie może... Zapewne zacznie opadać...

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — powtarzał Jakób gorączkowo. — Dom jest silny.

W tej właśnie chwili Małgorzata, która zbliżyła się do okna, zdjęta jakąś trwożną ciekawością, pochyliła się jak szalona i wypadła z krzykiem. Rzuciłem się do okna, ale już nie zdążyłem przeszkodzić Jakóbowi wskoczyć w wodę. Małgorzata go niańczyła, czuł dla biednej starej synowskie przywiązanie. Na odgłos obydwóch spadnięć Basia zerwała się przerażona, ze złożonemi rękami Pozostała tak, stojąc, z otwartemi ustami, rozszerzonemi powiekami, patrząc w okno.

Usiadłem na parapecie okna, mając w uszach pełno szumu wody. Nie wiem już jak długo pozostawaliśmy, ja i Basia w tem osłupieniu strasznem, gdy naraz głos jakiś zawołał na mnie. Był to Jakób, który trzymał się muru pod oknami. Wyciągnąłem do niego rękę i wdrapał się do góry.

Basia porwała go z siłą w ramiona. Mogła już płakać teraz, doznawała ulgi.

Nie było mowy o Małgorzacie. Jakób nie śmiał mówić, że nie mógł jej znaleźć, a my nie śmieliśmy go pytać o jego poszukiwania.

Wziął mię na stronę, zaprowadził do okna

— Ojcze – rzekł półgłosem – już więcej jak na dwa metry wody w podwórzu, a rzeka wciąż przybiera. Nie możemy tu pozostać dłużej.

Jakób miał rację, dom kruszył się, deski szop unosiła woda jedne za drugą A ta śmierć Małgorzaty ciążyła nad nami Basia oszalała błagała nas. Na wielkiem łóżku tylko mała Marychna pozostała spokojną, z lalką w ramionach, śpiąc anielsko uśmiechnięta.

Z każdą minutą niebezpieczeństwo wzrastało. Woda dojdzie wkrótce do deski u okna i zaleje pokój. Powiedziałby kto, że jakaś maszyna wojenna wstrząsa folwarkiem, uderzając w niego głucho, głęboko i regularnie.

Nie mogliśmy się spodziewać żadnego możliwego ratunku.

Chwile są drogie, rzekł Jakób z niepokojem, zostaniemy przygnieceni pod gruzami. . Szukajmy desek, zbudujmy tratwę

Mówił to w gorączce. Rzeczywiście wolałbymbył żebyśmy się znajdowali na środku rzeki przywiązani wszyscy razem do jakiej belki, niż pod dachem tego domu, który mógł się zapaść za chwilę. Ale gdzie znaleść belki potrzebne? Z wściekłości wyrywałem deski z szaf, Jakób połamał meble, powyrywaliśmy okiennice, wyciągaliśmy wszystkie kawały drzewa, do których dosięgnąć się dało. A czując, że nie do użytku były te szczątki, rzucaliśmy je na środek pokoju, szalejąc i szukając dalej.

Ostatnia nasza nadzieja znikała, rozumieliśmy naszą nędzę i naszą bezsilność. Wody się wznosiły.

Głuche głosy Durance wzywały nas z gniewem. — Wtedy wybuchnąłem płaczem, porwałem Basię w objęcia drżąc cały, błagałem Jakóba, by się do nas zbliżył. Chciałem, byśmy pomarli we wzajemnym uścisku.

Jakób poszedł znów do okna i raptem zawołał:

— Ojcze, jesteśmy ocaleni!... Chodź zobacz.

Bóg był łaskaw. Dach szopy, zerwany falą, zatrzymał się przy oknie. Ten dach, szeroki na kilka metrów, był zrobiony z belek i słomy; pływał po wierzchu, mógł zatem utworzyć doskonałą tratwę. Złożyłem ręce, byłbym czcił to drzewo i tę słomę.

Jakób skoczył na dach, przymocowawszy go wpierw silnie Chodził po poszyciu, przekonywając się o mocy każdej jego części. Poszycie nie ugięło się; mogliśmy mu się powierzyć bez trwogi

— O! uniesie nas wszystkich doskonale — rzekł Jakób wesoło. — Patrz ojcze, jak się niewiele zagłębia w wodzie!... Najtrudniej będzie nim kierować.

Obejrzał się w koło siebie i porwał w przejściu dwie żerdzie, które fala unosiła.

— A otóż i wiosła, mówił dalej... Ojcze, ulokujemy się, ty w tyle, ja na przodzie i poprowadzimy łatwo tratwę. Nie ma nawet trzech metrów głębokości... Prędko, prędko, wsiadajcie, nie trzeba tracić czasu ani chwili.

Moja biedna Basia starała się uśmiechnąć. Owinęła ostrożnie małą Marychnę w wielką chustkę; dziecko obudziło się; przestraszone nie mówiło nic, tylko od czasu do czasu ciężko wzdychało. Postawiłem krzesło przy oknie i wsadziłem Basię na tratwę. Trzymając ją w objęciach, ucałowałem ją z jakiemś przerażającem wzruszeniem; czułem, że ten pocałunek był ostatnim pocałunkiem.

Woda zaczynała napływać do pokoju. Mieliśmy nogi pomoczone. Wsiadłem na statek ostatni, poczem odwiązałem linę. Prąd przyciskał nas do ściany; musieliśmy użyć wielkich ostrożności i wielkich wysileń, aby oddalić się z folwarku.

Powoli mgła opadła. Gdyśmy odpłynęli mogła być północ. Gwiazdy tonęły jeszcze, jakby w parze; księżyc prawie na skraju widnokręgu, oświecał noc blaskiem przyćmionej zorzy.

Wtedy to wylew ukazał się nam w całym swoim ogromie grozy. Dolina stała się olbrzymią rzeką Od jednego do drugiego wzgórza, pomiędzy ciemnemi masami gruntów, przepływała Durance, olbrzymia, sama żyjąca wpośród zamarłego widnokręgu, hucząc wielkim głosem i zachowując w swoim gniewie majestat swego olbrzymiego wylewu. — Miejscami kępy drzew płynęły, tworząc na bladej powierzchni jakieś ciemno zarysowane plamy. Poznałem przed nami wierzchołki dębów alei; prąd pchał nas ku gałęziom, które, ile ich było, tyle raf niebezpiecznych tworzyły dla nas.

Wokoło nas płynęły różne szczątki, kawały drzewa, puste beczki, pęki traw; rzeka spławiała ruiny, które sama w gniewie swoim porobiła. Na lewo spostrzegaliśmy światła z Dourgnes. Błyski latarni migały w ciemnościach Woda nie dostawała się aż do wioski; tylko nizkie grunta były zalane. Pomoc zapewne nam nadejdzie. Badaliśmy światełka, unoszące się nad wodą; zdawało nam się co chwila, że słyszymy plusk wioseł.

Wypłynęliśmy, zdając się na wolę Opatrzności. Skoro tratwa znajdowała się na środku nurtu, niewidzialna wśród fal rzeki, strach nas ogarnął na nowo, żałowaliśmy prawie, żeśmy porzucili folwark Odwracałem się czasami, patrzałem na dom, który stał wciąż, szary ponad białemi wodami Basia, skurczona na środku tratwy zanurzona w poszyciu dachu, trzymała na kolanach małą Marychnę z główką schowaną na swoich piersiach, by uchronić dziecko od strasznego widoku tej rzeki, obie zgarbione, zgięte ku sobie w uścisku, jakby zmalały ze strachu Jakób, wyprostowany na przodzie statku, opierał się z całej siły na żerdzi swojej; rzucał na nas chwilami szybkie spojrzenia i zabierał się znów do roboty. Pomagałem mu o ile mogłem, ale nasze usiłowania, by się dostać do brzegu, były daremne. Zwolna, pomimo naszych żerdzi, które wpychaliśmy w błoto z całej siły, oddalaliśmy się coraz bardziej od brzegu; siła jakaś wychodząca jakby ze środka tych wód; pchała nas w głębię. Powoli Durance zawładnęła nami.

Opierając się, zroszeni potem, wpadliśmy w gniew, biliśmy się formalnie z rzeką, jak z istotą żyjącą, starając się ją zwyciężyć, zranić, zabić. Ściskała nas ona w swych ramionach olbrzyma, a żerdzie nasze stawały się bronią przeciw niej w rękach naszych, bronią, którą wpychaliśmy jej w pełne piersi z wściekłością.

Ryczała, rzucała nam w twarz pianę swoją, zwijała się pod naszemi razami. Ze ściśniętemi zębami opieraliśmy się jej zwycięstwu. Nie chcieliśmy być pobici. I porywała nas ochota szalona zamordowania potworu, uspokojenia go gradem pięści

Zwolna wypłynęliśmy na środek. Byliśmy już w alei dębowej. Czarne gałęzie przebijały wodę, rozdzierając ją z bolesnym odgłosem. Śmierć nas może tam czekała w pierwszem silnem uderzeniu. Zawołałem na Jakóba, by skierował tratwę w aleję i płynął nią, opierając się o gałęzie. I takim to sposobem przeszedłem po raz ostatni wśród alei dębo-

wej. Wśród tej strasznej nocy, na tej otchłani ryczącej, myślałem o wuju Lazarze i ujrzałem piękne chwile mego życia, uśmiechające się do mnie smutno.

W końcu ależ Durance zwyciężyła. Nasze żerdzie nie dotykały już gruntu. Wody unosiły nas we wściekłym pędzie swego zwycięztwa. Teraz mogły już robić z nami co im się podobało. Oddaliśmy się im zupełnie. Płynęliśmy z wolą z szybkością przerażającą. Wielkie chmury, jak brudne i podziurawione szmaty, wlokły się po niebie, a gdy się księżyc skrył za niemi, ciemność straszna nas otaczała — Toczyliśmy się wtedy w chaosie. Fale olbrzymie, czarne jak atrament, podobne do grzbietów ryb wielkich, unosiły nas, wirując. Nie widziałem już ani Basi, ani dzieci. Czułem się już wśród śmierci.

Basia zerwała się na nogi. Podawała mi małą Marychnę

— Bierz dziecko — zawołała. — Zostaw mnie, zostaw mnie!

Jakób już pochwycił matkę w swoje objęcia. — I głosem silnym zawołał:

— Ojcze, ratuj małą . ja ratować będę matkę.

Masa czarna była już przed nami. Zdawało mi się, że rozpoznaję drzewo. Uderzenie było straszne, tratwa przedarta na dwie części rozrzuciła słomę i belki po falach.

Upadłem, ściskając silnie małą Marynię. Zimna woda wróciła mi całą moją odwagę Wypłynąwszy na wierzch, podtrzymywałem dziecko, położyłem je prawie na swojej szyi i zacząłem płynąć z trudem Gdyby mała nie była zemdlała, gdyby się była poruszała, bylibyśmy oboje pozostali na dnie otchłani.

A podczas tego, jak płynąłem, przerażenie dusiło mnie. Wołałem Jakóba, starałem się zobaczyć w dali, ale słyszałem tylko huk Durance, widziałem tylko bladą powierzchnię. Jakób i Basia byli na dnie. Musiała się przyczepić do niego i pociągnęła go za sobą w śmiertelnym uścisku. Co za straszne konanie! Byłbym chciał umrzeć; zagłębiałem się powoli, byłbym ich odnalazł pod temi czarnemi wodami. Ale skoro fala dotknęła twarzy Marychny, zaczynałem na nowo walczyć ze wściekłą energją, by się zbliżyć do brzegu.

Tak to porzuciłem Basię i Jakóba, rozpaczając że z niemi umrzeć nie mogę, wołając wciąż na nich ochrypłym głosem. Rzeka wyrzuciła mnie na kamienie, tak, jak te pęki traw, które w biegu swoim zostawiła. Gdy wróciłem do przytomności, wziąłem na ręce moją córkę, ktora otwierała oczy. Dzień świtał. Moja noc zimowa była skończoną, ta noc straszna, która była wspólniczką w zamordowaniu mojej żony i mojego syna.

. . . .

Po tylu latach żalu ostatnia pociecha mi zostaje. Jestem już zamarzniętą zimą, ale czuję drgającą we mnie przyszłą wiosnę.

Wuj Lazar mowił prawdę: my nigdy nie umieramy. Miałem moje cztery pory roku i oto powracam do wiosny, moja ukochana Marychna rozpoczyna dziś na nowo wieczne uciechy i wieczne cierpienia.

Z GŁĘBI SYBIRSKIEJ.

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Gdy zatem nocy następnej więźniowie sąsiedniej celi ostrożnie część już ściany wyjęli pod szlabanami z obu stron przytykającemi, przekonali się, że sługa ich codziennie nic tu nie widział, mimo że przez niedokładne zatkanie otworu nieco za głośno słyszano szmer z sąsiedniej celi. Było to właśnie dla nich wskazówką, iż temu zaradzić, bo nie każdy, co potem wejdzie, mieć będzie podobne jemu objęcie mózgowe. Zaraz też temu zaradzili, tak, że żaden potem głos stamtąd nie dochodził, chyba wtedy, gdy właśnie porozumienie więźniów przez ten otwór odbywać się miało.

W następujących nocach rozpoczęła się już robota około przekopu. Gdy się jeden robotnik zmęczył, wracał do swojej celi, a natomiast wysuwał się powoli drugi, zajmując miejsce pierwszego. I tak szła dalej robota. Lecz nader powoli musiała ona postępować; nie tak spiesznie iść dalej mogła, jak się spodziewano. Nie tylko bowiem szła tępo, przy podobnem. jaki oni posiadali narzędziu, lecz i tę niewielką ilość gruzu trzeba było przecież gdzieś wynieść. Wynosili go ostrożnie, w małych częściach, to jest, zabierali nieznacznie wtedy z sobą, kiedy szli do kopalni na pole, i tam zrzucali mieszając z gruzem i piaskiem kopalnianym. Było to możliwem, gdy więźniów nie rewidowano, kiedy szli do kopalni, lecz właśnie z opuszczającymi pole złotodajne odbywała się ścisła rewizja, ażeby jaka blaszka złota do którego z nich się nie przyczepiła. O skarby, jakieby mogli z cel swoich wynosić, nikt się nie obawiał.

Przy takiej manipulacji z więźniami prędko postępowała robota spiskowych. Prócz tego pokazywało się, iż nie wszędzie skała była jednakowej spoistości. Gdzieindziej mocno się usuwała, co we dwójnasób zabierało czasu.

Mimo to wszyscy byli dobrej myśli. A żyd, który przedtem gryzł się tylko w sobie, rozpaczając, nabrał energji, i pracował tak szczerze a z taką gwałtownością, iż go nawet wstrzymywać nieraz musiano. Zapał jego obecny, i myśl, co w nim teraz nurtowała, tak się widocznie na twarzy malowała, że nieco przenikliwszy fizjognomista, niźli ich sługa kazienny, byłby się już czego domyślił. Ale człowiek ten rad był zawsze, że mu nikt w celi nie kazał meldować dozorcy, iż tu który zachorował albo może i umarł, bo toby nieco musiało przerwać codzienne jego zajęcie.

Razu jednego trafił się więźniom przypadek, iż Nuchim w swej gorliwości dłużej zatrzymał się w podkopie, tak, że przybywający w swoim czasie po kubeł sługa nieco zaczął się zastanawiać, iż za mało coś widzi w celi mieszkańców. Więźniowie spostrzegli, że on na prawdę w tej chwili głową swoją za wiele pracuje, rozbierając, czy ich tu widzi trzech, czy, jak być powinno, czterech. Nie czekając przeto zanim on dojdzie w swej mózgownicy do jakiego rezultatu arytmetycznego, czemprędzej oświecili go więźniowie, że i żyd znajduje się zarówno, tylko leży przykryty spiąc teraz, bo w nocy stękał, a teraz się poci. Lud zaś „russki“ niemałą ma wiarę w skuteczność potów na różne choroby. Przekonany tem ich sługa rad był z tego, gdyż w razie większej choroby kazanoby mu jeszcze żyda dźwigać do szpitala. Nie potrzebował się przeto Nuchim teraz za nadto spieszyć z pracą swoją podziemną, i mógł dnia tego dłużej w podkopie pozostać.

Więcej się jednakże przestraszono, kiedy innego dnia wejść miała po formie rewizja. Wpadł nagle dozorca więzienny, popatrzywszy z pośpiechem, czy wszystko jest w porządku, mianowicie. czy wszyscy skazańcy zdrowi i żywi, a szczególnie, czy nie są przypadkiem zajęci czem niedozwolonem, albo czy im nie dano jakich po nad przepis wygód: nadejdzie bowiem wkrótce sam kapitan. Jak też wszedł dozorca nasz, tak i z pośpiechem wyszedł: widocznie chciał obejść wszystkie cele, myśląc nie tyle o więźniach, ile o własnej skórze.

Żyd tak się tem przeraził, w mniemaniu, że już wszystko stracone, i tylko się teraz stanie coś okropnego, iż naraz zbladłszy, zaczął się trząść jakby w febrze. Ale i drudzy byli potrwożeni. Nie tracąc jednak przytomności, zabrali się czemprędzej do uporządkowania tego w celi, coby mogło zwrócić uwagę jaką, sami zaś wzięli się z wielkiem nabożeństwem do czytania książek danych dla zbudowania. Żydowi znów dygocącemu jeszcze z przerażenia, kazali udawać chorego, i położyć się na tapczanie, który przylegał do ściany, w skutek ich przechodów za wiele obdrapanej.

Kiedy już dawały się słyszeć kroki na korytarzu, było teraz wszystko w sytuacji odpowiedniej dla skazańców.

Niebawem drzwi się otworzyły — i weszła rewizja więzienna, składająca się z kapitana, jednego z podrzędniejszych czynowników i dozorcy więziennego, za drzwiami zaś zostały dwa kozaki w wyprostowanej postawie.

Kapitan, gruby, o czerwonych policzkach a małem świdrującem oczku, stanął na środku rozglądając się, czy wszystko zastaje w porządku. Zobaczywszy zaś żyda stękającego na tapczanie, zapytał stojącego obok siebie w pokornej pozycji dozorcy, co to za jeden ów chory. Otrzymał czemprędzej uniżoną odpowiedź, że to żyd, który tu siedzi blisko dwa lata, a zostaje mu jeszcze cztery do siedzenia, lecz dodał zaraz do tego, iż nie wiedzieć, czy on to przetrwa, bo ciągle słabuje — i wiele ma z nim dozorca kłopotu, gdyż jadła musi dobierać — a wszystko to idzie na koszta skarbu.

— Na co? — zapytał brwi zmarszczywszy kapitan. Więźniowie zaś zdziwili się, gdyż dozorca więzienny tylko kłamał, boć ani żyd chorował, ani na niego nie wydawano więcej: widocznie chciano tu liczyć wydatek sfingowany na koszt skarbu, którego

z patrjotyzmu, wierni słudzy carscy pełną garścią czerpią.

Tymczasem na zapytanie kapitana odpowiedział dozorca:

— On jeść tego nie może, co inni zdrowi, Wasze Błagorodje. Ot, i teraz coś znowu mocniej zapadł...

— No, to niech zdycha sukin syn! — rzekł otwarcie kapitan. Potem zaś dodał łagodniej: — Jeśliby zaś miał zdechnąć tu w celi, no, to w razie, jeśliby się ta bestja nie podniosła, wziąć ją do szpitalu. Niech tam już...

I dokończył znaczącą mimiką.

— Według rozkazu, Wasze Błagorodje.

Żyd zaś, usłyszawszy łaskawą staranność o swoje zdrowie, tak się tem przestraszył, by go na prawdę nie wzięto do szpitala, iż ledwie co nie powstał na proste nogi, na dowód, że zdrów. Ale na szczęście jeden z obecnych więźniów wyratował sytuację, dodawszy, że żyd ten od czasu tylko do czasu nieco zapada, lecz że mu to żadnem nie grozi niebezpieczeństwem.

— No, to ktoby się z nim tam certował! — mruknął kapitan zwrócony do dozorcy. — Żaden nie może być wybrednym, ażeby mu chora jaka bestja nie zatruła w celi powietrza. — Potem dodał: — No, ale... czy go tam oddasz do szpitala, czy nie, złożysz raport o tem na piśmie.

— Według rozkazu, Wasze Błagorodje.

Dozorca wiedział, że raport jego napisany pójdzie spocząć do kancelarji kapitańskiej, wcale nieczytany: wtedy zaś obaj wypełnili już swój obowiązek co do kwestji sanitarnej.

Kapitan popatrzył jeszcze po obecnych, i rzekł zmarszczywszy brwi:

— Jeden, dwa. Tu tylko czterech siedzi? Mogłoby więcej się pomieścić. Dodać jeszcze dwóch z celi sąsiedniej.

— Według rozkazu, Wasze Błagorodje.

I wyszli z tem. Więźniowie odetchnęli, szczególnie Nuchim, któremu groziła izba szpitalna, ale pozostaje. Do tego jeszcze dwóch więcej otrzymają dziś pracowników dla swojego podkopu, z łaski kapitana.

XX.

Robota około podkopu, chociaż żmudna, z niemałem prowadzona trudem, dalej jednak postępowała. Myśl sama, że się wydobędą na wolność, dodawała wszystkim ochoty i siły. Nuchim przestał już teraz płakać i narzekać. Zamiast narzekania brał się do roboty, żmudnej, niebezpiecznej, ale ta praca wydobyć go miała z katorgi i zbliżyć do rodziny. Dlatego i nocy jego były dziś spokojniejszemi, bo kiedy nie pracował w podkopie, spał w celi pracą nad siły swoje strudzony. A wtedy mu się śniło, że był razem z żoną, i oboje szukali syna. Czasem nawet we śnie znalazł już syna, a wtedy dziwił się, jak mały Dawidek przez ten czas wyrósł i odmienił się. Ach! co to za piękny i rozumny zrobił się z niego młodzian! Nuchim sam w obec niego stawał się dziwnie nieśmiałym, jakby nawet dziś nie wart był syna takiego. Zbudziwszy się potem, myślał nad tem, czemu to był sen tylko? Ależ jaki cudny! Biedny ojciec ciągle przywoływał w pamięci swej postacie senne: on naprawdę widział syna swego...

To mu dodawało ochoty, że nie ustawał w pracy dla siebie ciężkiej: dziś mu na prawdę sił i zdrowia przybyło.

I wszyscy w obudwu celach dobrej byli myśli. Marzyli już nawet o tem, że gdy się podkop uda, i będzie już bliskim otworu na przeciwną stronę, który wyjdzie właśnie na zbocze skaliste, po za ostrokół: wówczas również i innych w dalszych celach wciągną do spisku.

Potem jednak przekonywali się, iż to nie tak prędko się stanie, bo przekop podziemny będzie musiał być dłuższym, aniżeli pierwotnie sądzili. Ponieważ zaś czuli się ninie bezpieczniejszymi, i mniej ich dziś pilnowano, odważali się nawet dla przyspieszenia dzieła czasami i w dzień dalszą prowadzić robotę. Ale też i ściana między obu celami przez ciągłe przechody pracowników coraz się bardziej rysowała, a nawet i tynk mocno odleciał. To było powodem, iż razu pewnego wszedłszy do celi dozorca więzienny dłużej się wzrokiem na niej zatrzymał, jak gdyby badał okiem, czy tu nie potrzeba będzie reperacji. Spiskowi to poznali — i ażeby nie dopuścić do podobnej roboty, a pokazać, że ściana dobra, próbowali sami z ostrożnością tynk odpadający przyczepić — i tak zakryć rysy znaczniejsze.

Atoli przy tej właśnie manipulacji zawaliła się nagle część ściany. Powstał ruch niezwykły — i przybył dozorca, ażeby ratować przedział między obu izbami. A wtedy między obydwiema celami odkryto zakrywany z obu stron tapczanami przechód, którym porozumiewali się więźniowie.

Spiskowi zadrżeli. Lecz dozorca wziął to tylko za sprawkę więźniów z obu cel sąsiednich, w tym celu, ażeby mogli się razem komunikować, jak gdyby dla przerywania jeno nudów więzienia, czem się nawet przy indagacji tłómaczyli. Wypadnie za to wprawdzie kara, ale mniejsza, gdyż podkopu

jeszcze nie wykryto, do którego otwór prowadzony z pod innego tapczana obecnie dobrze założono. Choć wszyscy pocierpali, mieli jednak nadzieję, że jeszcze minie tym razem niebezpieczeństwo.

Lecz gdy dozorca więzienny zaczął się lepiej nad tem zastanawiać, pocoby tutaj z dwóch cel schodzić się mieli, wydała mu się rzecz cała więcej podejrzaną. Zabrał się przeto do ściślejszego zrewidowania, niżeli pierwej, nie tylko większej celi, ale i drugiej mniejszej.

Wówczas odkryto miejsce tapczanem zamaskowane — i pokazał się otwór wiodący do podziemnego przekopu.

Rzecz się wykryła — zamiar ucieczki stał się widocznym.

Rozpoczęły się teraz indagacje.

Dozorca więzienny był przerażony, iż to się stać mogło pod jego dozorem — a kapitan, również o siebie zaniepokojony, usiłował odbić to na podwładnym za jego niedbalstwo, więcej zaś na więźniach, których oddał jemu w ręce los nieubłagany. Zabrał się przeto z całą energją i mściwością czynownika do wykrycia winnych, aby pokazać władzy, że on czuwa nad więźniami, i właśnie mimo niezdolności podwładnego, którego za to skaże się na ciężką karę, wielki i bardzo niebezpieczny wykrył dziś spisek, który przy niezdolności podwładnych, jakich mu dano, wszystkie mógł był objąć cele.

Lecz również i główny komendant nie myślał wcale całą zasługę pozostawić kapitanowi, któregoby wynagrodzonoby chrestem i awansem — sam zaś komendant nie przyozdobiłby piersi swojej żadnym nowym orderem, ani żadną nową gażą. Zabrał się zatem sam do roboty — a chciał mieć tutaj jak najwięcej winnych, szczególniej zaś wykryć kierowników spisku, jeśli zaś się da, to i zaplątać niejednego z dozorujących, a może wykazałaby się i niezdolność kapitana.

Indagowani więźniowie twardo się trzymali. Żaden z dekabrystów, ani z polskich skazańców nie chciał wykryć winy towarzyszy, nawet i Nuchim, choć był zdesperowany, nie myślał ratować się zdradzeniem towarzyszy, którzy chcieli wydobyć go z katorgi.

Nie można zatem było wykryć głównych przewódców, jak i tych, co pierwsi myśl podawszy podkopu, innych do tego poruszyli. Więźniowie postanowili sobie wspólnie dźwigać winę i karę. Nuchimowi, gdy wspomniał na żonę i syna, przychodziła nieraz myśl, że mu bliższą rodzina, którą stracił, niżeli towarzysze więzienia; lecz na myśl taką wnet go oblał rumieniec: on nie chciał być gorszym od innych, zwłaszcza, gdy i tak drudzy widocznie bali się o niego najwięcej, aby nie dał wszystkiego ze siebie wydusić.

Indagacje ciągnęły się po indagacjach — spisywano protokoły z pojedyńczymi. Próbowano zamykać podejrzanych o większy udział w gorszych, ciemniejszych celach, głodzono, i cięższe, bardziej dolegające, zarzucano na nich okowy. Torturowano nawet dla wydobywania zeznań.

Nareszcie po niejakim czasie pokazało się, że już wykryto najbardziej winnych — i mógł już komendant oznaczyć stopień winy u swoich podwładnych. Wszystkie okoliczności były już w posiadaniu władzy, która znała dziś wszelkie każdego z więźniów zabiegi, jak i współudział pojedyńczych, a nawet i słowa wyrzeczone kiedy przez którego z więźniów były jej nie obcemi.

Widoczną była tu zdrada. Kto jednak mógł zdradzić?...

Oburzenie było ogromne na Nuchima. Wzajemnie winowano się, że żyda wciągnięto do spisku.

Byli nawet tacy, co zaprzysięgli sobie w duchu, że jeśli kiedy wyjdą jeszcze z tej katorgi, a żyd będzie wolnym — wówczas go wyszukają, choćby nie wiedzieć jak był daleko — i wykonają nad nim karę.

Nareszcie wypadł wyrok. Jedni byli skazani na lat pięć dłuższej katorgi, niżeli przedtem, inni na dziesięć, piętnaście lat, a ci, co pierwotnie skazani byli na lat dwadzieścia, zostali w dodatku jeszcze przykuci łańcuchem do taczek na pierwsze trzy lata. Nuchim zaś, który za cztery lata miał opuścić katorgę, został teraz skazany na lat dwanaście cięższej katorgi, a potem na osiedlenie w miejscu najdalej ku mroźnej północy położonem, jeśli przetrwa karę.

Wszystkich ninie zdziwiło, dlaczego człowiek ten tak srogiej podpadł karze? Wszak należał pierwej do mniej winnych skazańców, gdy pierwotnie skazanym był na sześć lat katorgi, którą już za cztery lata miał opuścić?

Atoli niebawem pokazało się, że niewinnie posądzali go towarzysze, ponieważ tym, który wydał wszystko, wcale był kto inny. Tak, nie żyd, lecz rolę tę odegrał potomek Murzów, tatarski oficer, który ze służby carskiej trzy razy już uciekał, i trzy razy był schwytany, trzy razy zatem otrzymywał karę — stopniowaną — teraz zaś po raz czwarty, zamiast katorgi na całe życie — odbędzie karę inną lekszą, a niedługą, i zostanie wolnym: okazał bowiem dziś poprawę, złożywszy dowody wierności batjuszce-carowi, i potomek którego poprzednicy

walczyli na zabój z caratem, będzie dziś służył wiernie nowemu panu i nowej ojczyźnie, jeśli mu pozwolą okradać skarb i łupić wojsko własne.

XXI.

Dola skazanych stała się gorszą. Włożywszy cięższe kajdany pozamykano ich w norach ciemnych, mocniej obwarowanych. Innych czekał również los nielepszy; nie mieli bowiem pozostać w katordze, w której podczas kopania piasku złotego a płuczki — część choć dnia przebyć mogli na wolnem powietrzu Dwóch zaś, jako głównych sprawców spisku, przykuto łańcuchem do taczek. Spali z niemi i wstawali; razem z taczkami mogli się tylko poruszać. Wielu znów przeznaczono w inne miejsca, aby tych co się porozumiewali, na zawsze rozdzielić. Los ten spotkał również i Nuchima.

W dzień chmurny, posępny, wraz z kilku innymi, wyprowadzono nieszczęśliwego w ciężkich okowach. Przed bramą więzienną stały wozy, otoczne konną eskortą kozaków. Więźniowie smutni, z wyrazem zwątpienia na twarzy, siedli na wozy, głucho pobrzękując kajdanami.

Oficer konwojujący dał znak — i smutny orszak ruszył.

Wozy biegły ze zgrzytem a hałasem po nierównej, kamienistej drodze, konwój kozacki pędził — katorga niebawem z oczu znikła.

Na prawo, na lewo, bliżej, to dalej, rozbiegały się wzgórza, niskie, kamieniste, tu i owdzie czerniejące tarniną lub głogiem; miejscami jeno zaczernił się większy szmat lasu. A chociaż przed ich oczyma roztaczał się świat, pełen martwoty i posępny, gdzie się nic jeszcze do życia nie rozbudziło, mimo to wiejące ku nim powietrze zdawało się ich upajać, jakby narkotykiem. Łoskotem drogi, impetem wiatru, byli niejako zbici, odurzeni.

Dzień pierwszy skończył się. Na nocleg zamknięto ich w ostrogu przydrożnym, ciemnym, pełnym wilgoci i pełzającego robactwa. Ten i ów próbował zasnąć, lecz raz w raz rzucał się tylko w niewygodnem miejscu.

Nuchimowi nie lepiej się działo. Turkot całodzienny i nawoływanie kozactwa szumiało mu jeszcze w głowie. Po niejakim czasie gwar ów chaotyczny zrobił miejsce innym, posępniejszym myślom. Wszystkie nieszczęścia, jakich on po opuszczeniu domu rodzinnego doznał, zeszły się teraz tłumnie, w tej ponurej nocy, w której oka nie mógł zmrużyć. To stawał mu przed oczy syn, o którym już ninie zwątpił, czy go kiedy zobaczy, stawała żona, która dziś bez podpory bije się tylko z dolą swoją ciężką, gdy on dziś skazany na długie lata, albo raczej na śmierć powolną za życia. I za co on właściwie skazany? Że się ratował i chciał drugich ratować? Najlichszy robak usiłuje się wydobyć, jeśli go chcą przydeptać, a on człowiek? Chwytała go rozpacz. A gdy się zagłębił w położenie swoje bez wyjścia, zdało mu się, iż go już obłęd chwyta. Od czasu do czasu mróz go przejmował nocy wilgotnej, dokuczając ciału, wtedy przynajmniej przerywały się choć na chwilę myśli dręczące, w których nie było wyjścia.

Całą noc nie zmrużył oka – nie spali i drudzy skazańcy, posępnym oddani myślom beznadziejnym.

Ranek zastał wszystkich bardziej jeszcze osłabionych. Lecz gdy ich zabrano z tej nory, mogli przynajmniej świeższem odetchnąć powietrzem.

Dzień drugi i trzeci nie był innym. Wieziono spętanych przez okolice, strasznie nudne, jednostajne, pełne dzikiej do koła pustoszy. Przez całą drogę nie widzieli nieszczęśliwi, jak tylko poczty przydrożne, albo ostrogi ze skazanymi, zdala zaś szarzały katorgi, to porzucone przed laty kopalnie. Jeśli zaś gdzie wóz jaki przy drodze zdybano, to tylko taki, co wiózł żywność dla tych katorg i pilnującej w w nich straży. Tu i ówdzie zdybywano osady ludzkie, składające się z nor samych, nie więcej dodawały jasności posępnej okolicy.

Po paru nowych dniach pokazały się już góry wysokie Jabłońskie, kamieniste, pełne czerniejących borów. Panorama teraz z wyższych wzgórzy i kopców roztaczała się, bardziej rozległa i bardziej groźna. Ku południowi zaś siniała jakaś ogromna zbita masa kopców i grzbietów, owinięta chmurami, tu i ówdzie bielejąca plamami śniegu. Bliżej pokazywały się gdzieniegdzie po drogach wsie z osadników moskiewskich, to ułusy Burjatów. ale kiedy już górskie zabłyszczały jeziora, znikły osady ludzkie, a wozy zaczęły się wznosić z wielkim jeno trudem po kamienistej drodze często zawalonej załomami świerków i modrzewi.

Lecz gdy minąwszy dzicz górską stoczono się niżej, pokazała się większa między górami dolina, w której zamajaczyła Czyta.

Wtedy mocniej zabiło serce w skazańcu, gdyż tam miała być żona jego nieszczęśliwa. Ach! tam syn się jego rodził, którego mu dziś zabrano. Serce więźnia rwało się ku miejscu temu, pełne rozpaczliwej tęsknoty. W łańcuchach najcięższych przyczołgałby się, ażeby zobaczyć, co się tam dzieje. A może tam rozdrapano jego mienie? Wszak po to są przecież urzędnicy gminni i rządowi.

Lecz gdy Czyta znikła za wzgórzem, zdało mu się, że sen jego cały znika, na zawsze, a kiedy się znów pokazywała chwilami, tak mu było, jakby się znowu sen dobry wracał. Wtedy w zapomnieniu próbował błagać, żeby go tam choć na chwilę pod strażą najmocniejszą puszczono, skrępowanego, aby dach swój zobaczył. Ale na to szorstką jedynie otrzymał odpowiedź, że tam nic nie ma dziś jego, tak samo, jak nigdzie, gdyż on — katorżnik, a katorżnik nie ma domu ani rodziny.

Skazaniec musiał zaznać co jest piekło na ziemi. Tak blizko był miasta, i musiał je przejechać, jakby tam nic już nie było dla niego.

XXII.

Przejechawszy góry i skały, jeziora i lasy, i ogromne pustosze gór Jabłońskich, wjechano w dolinę Chiloku, bardziej zieloną i bardziej szeroką.

Tu świat był odmienny, prawie uśmiechnięty. Rozciągały się pola z zagonami zboża, to łąkie zielone. Widać było już i pracę ludzką, a nawet pokazywały się wsie ludniejsze Starowierców, to osiadłych Burjatów, a góry wyższe i dziksze odbiegły teraz dalej ku południowi.

Pasy zboża rozciągały się po niższych a łagodniejszych zboczach, na wyższych zaś, trawą tylko zieleniejących, tłumiły się stada bydła i koni.

Lecz niebawem zaczęła się zwolna zmieniać okolica. Wznosiła się droga i pokazywały się dziksze wzgórza. Wozy ze skazańcami gramoliły się z trudem w poboczne, wyżej położone doliny, węższe, bardziej nagie i bardziej ponure, a nareszcie przeciskać się musiały przez jary i rozwory w wiecznych mrokach dyszące. Coraz straszniejszą zewsząd wiała pustosz, w powietrzu było coś strasznie posępnego i pełnego bezgranicznej grozy. Zamiast drzewa zielonego, zamiast zboczy pokrytych trawą żyjącą, czerniły się tu i ówdzie żużle i popioły rudy żelaznej; gdzie niegdzie sterczały rudery opuszczonych pieców na znak, że ziemia tu nie wydaje żadnego innego plonu, prócz żelaza na broń śmiertelną i na okowy dla skazanych.

W takich stronach, mrożących krew i kości człowieka — pokazała się nareszcie, jak gdyby za światem żyjących, osada Piotrowska o niskich, poczerniałych domkach, z których gdzie niegdzie wychylał się jaki mieszkaniec senny o posępnem licu, poniewoli tu przybywszy, albo też nastawnik carski, wiodący do pieców niewolniki carskie.

Przejechawszy tę smutną, ukazem jeno carskim do życia pozornego powołaną osadę, zatrzymały się niebawem wozy w miejscu strasznie samotnem i strasznie ponurem, skąd do koła rozchodził się czad węglowy, a chmury dymu w górze wisiały gęste, gryzące, jak gdyby usiłowały hutę całą wraz z jej pochłonąć niewolnikami.

Wozy się zatrzymały — skazańców przeszło mrowie na myśl, że tutaj ninie pozostaną, i w takiem miejscu pędzić odtąd będą długie lata, bez słońca promieni, bez iskry nadziei.

A gdy tuż ujrzeli twarze pracowników w tej hucie katorżnej, wychudłych, wynędzniałych, podobniejszych raczej do potępieńców, niżeli do ludzi żyjących, tak im się zrobiło marnie na duszy, tak okropnie, jakby już wszelkie z nich zaczęło uchodzić życie, i tylko na śmierć czekali jak najprędzej. Ale tutaj nawet nie dadzą ludziom skonać od razu, lecz konać każą zwolna, z dnia na dzień czuć mękę konania.

Nuchim patrzał ninie w zupełnem o wszystkiem zwątpieniu; ściemniało mu w oczach, nic prawie nie widział do koła, słyszał tylko pobrzęki kajdan, zmieszane z tupotem kroczących, przerywane od czasu do czasu głosem surowym nastawników.

W poprzedniej katordze wychodził on przynajmniej z zamknięcia do robót około kopania i płuczki piasku, miewał przeto nieco ruchu na wolniejszem powietrzu, a dzisiaj zdało mu się, jak gdyby jakaś siła piekielna, okropna, bezwzględna, zagnała go na miejsce potępienia. Zdało mu się, jak gdyby już za nim zatrzaśnięto bramę, która go przedzielała od świata żyjących.

Sprowadzonym tu skazańcom dano dwa dni wypoczynku. Na trzeci dzień zapędzono ich do pieców.

Nuchim nigdy podobnej nie widział pracy, on nie był nigdy w takich ogniach. Żar z pieców w których gorzały węgle z rudą rozpaloną, walił płomieniem w lice, zaducha zgorzelizny i zgęszczonego swędu, buchała z otchłani piecowej, oddech zatrzymując ludziom.

Zdawało się ciągle nieszczęsnemu, że go te żary coraz bardziej obejmują, tłumiąc w nim oddech, ciągle też czuł straszną w gardle suchość, męcząc się nieustannem pragnieniem. Pot go oblewał, obezsilający, odzież lepła do ciała, paliło go w wnętrzu, jakby wrzątkiem.

(C. d. n.)

MIŁOŚĆ SUŁTANKI.

(Ciąg dalszy).

— Ów rzekomy rybak, jest książęcym synem Effendi. Prócz waszej najdostojniejszej rodziny — oby ją Ałłach wiecznie błogosławić raczył! — nie znajdziecie w całem państwie równie wysoko urodzonego młodzieńca... i tu w dalszym ciągu przytoczył wszystko co wiedział o byłym chanie Georgii, nie przestając rozwodzić się nad szlachetnością i rozumem starego Timbooksa, oraz nad zacnemi zasadami, w jakich wychowywał syna.

Sułtan, otoczony kłębami wonnego dymu, słuchał uważnie. Wreszcie, kiedy Ali-bej skończył, rzekł nie zmieniając postawy.

— Odwiedzisz mego gościa oraz przyjaciela księcia Timbooksa i poprosisz, aby dziś jeszcze po zachodzie słońca, rozmówił się ze mną.

Niespodziewane wezwanie zdziwiło byłego chana, lecz nie poczuwając się do żadnej winy stanął w oznaczonym czasie przed obliczem padyszacha.

Po wymianie kilku powitalnych zwyczajem uświęconych frazesów, sułtan zapytał gościa:

— Macie książe dzieci?

— Ałłach obdarzył mnie tylko jednym synem.

— Czy wie on, że książęca krew płynie w jego żyłach.

— Nie wie o niczem. Nie chciałem w jego sercu budzić pragnień, które nie mogą być spełnione.

— Proszę mówcie jak najwięcej o waszym synu.

— Usłucham cię chętnie panie, tem bardziej, że jest on jedynym celem mych uczuć i myśli. Jednakże obawiam się czy słowa moje nie wydadzą się zwykłą zwrotką zaślepionego w swym jedynaku, ojca. Otóż Murad jest mężny, szlachetny i prawy. Mnie i matce swojej okazuje uległość oraz synowskie przywiązanie; obcy chwalą jego skromne obyczaje, a służba i biedni błogosławią za wspaniałomyślność, jakiej, według swej możności, złożył niejednokrotne dowody.

— Zaiste, niezwykły to młodzian i radbym go poznać. Jutro o tej samej porze przyślijcie go do mnie.

Rozmowa z Muradem trwała niespełna godzinę, lecz młody człowiek okazał się tak godnym oddawanych mu pochwał, iż już następnego dnia wierny Ali bej szedł pozdrowić w imieniu swego pana księcia Timbooksa oraz oświadczyć, że zgodnie z wolą padyszacha, młody Murad poślubi sułtankę Sheriffeh.

Poselstwo to rozradowało Ali-beja i, jak łatwo odgadnąć, staremu chanowi, nie było także nieprzyjemnem Przeciwnie umiał cenić zaszczyt, jaki spadał na jego dom, tem większem więc zdumieniem przejęła go spokojna, niemal niechętna postawa syna. Murad wysłuchał wieści ze złożonemi na krzyż rękami i utkwionym w dal wzrokiem. W odpowiedzi na nieme zapytanie księcia rzekł:

— Uczynię co zechcesz ojcze i panie. Pozwól mi jednak być szczerym i powiedzieć, że gdyby to zależało odemnie nigdy sułtanka nie zostałaby moją żoną.

— Jakto! Dla czego?

— Ponieważ zbyt często słyszałem ile kaprysów i przykrości znoszą małżonkowie córek padyszacha.

— Lecz księżniczka Sheriffeh stanowi wyjątek. Mówią że piękna i dobra jak anioł. Będziesz z nią szczęśliwy!

— Gdyby mi przypomniała, jaka nas przepaść dzieli... Ach! ojcze!

— Nie uczyni tego. A zresztą choćby nawet uczyniła, to i ty jesteś mężczyzną i mniemam, że potrafisz strzedz swej godności.

— Pozwalasz zatem ojcze?... Ha! niechże się tak stanie. Będę ci posłusznym.

— W tem samem położeniu jesteśmy chłopcze. O nieposłuszeństwie względem padyszacha nie może być mowy — zakończył stary.

Wesele księżniczki miało się odbyć wkrótce. Śliczna Sheriffeh, dowiedziawszy się jakiego małżonka przeznaczył jej ojciec, wróciła prędko do sił i niebawem rozkwitła jak róża. Jednakże w ciągu kilkunastu następnych dni, które zajęły przygotowania do zaślubin, spotkało ją parę drobnych przykrości. Pochodziły one głównie ztąd, że starym haremowym damom, oraz innym kumoszkom, długo nie udawało się wpoić w nią przekonań właściwych córce sułtana a co naj-

ważniejsza nauczyć, w jaki sposób powinna się obchodzić z przyszłym małżonkiem. Dobry ton i zwyczaj wymagały (tak jej wbijano w głowę), że zaraz z miejsca trzeba okazać mężowi lekceważenie a nawet pogardę. Nie odpowiadać na jego zapytania, nie uśmiechać się, ani broń Boże pozwolić się pocałować w rękę. Raz jeden można a nawet należy przemówić, lecz jedynie w szorstki, ubliżający sposób...

Wszystko to nie mogło się pomieścić w kształtnej główce Sheriffeh, lecz wtedy dopiero, kiedy najmędrsza z mistrzyń zapewniła, że jeżeli postąpi inaczej, sam Murad poweźmie o niej jak najgorsze wyobrażenie, oraz, że niezachowanie prawideł etykiety zrazi go na zawsze.

Niemniej, wtedy dopiero ustąpiła, kiedy już minęły uroczystości weselne, gdy Sheriffeh zająwszy honorowe miejsce, na dywanie, czekała pierwszego sam na sam z małżonkiem, drżąc niby ptak schwytany w sidła... Murad stanął na progu. Przedewszystkiem nie rzuciwszy nawet okiem w stronę sułtanki, wzniósł dłonie a usta jego odmówiły przepisaną koranem modlitwę. Następnie przywitał małżonkę głębokim ukłonem i pochyliwszy głowę zbliżał się zwolna. Kiedy już stał przed nią, powtórzył ukłon, przyczem usta jego musnęły rąbek jej szaty.

Sheriffeh cała w zasłonach błyszczących od pereł oraz djamentów nie ruszyła się, nie rzekła słowa. Każdyby przysiągł, że nie zauważyła obecności Murada: Przygotowany na chłodne przyjęcie nie czuł się dotąd obrażonym, lecz duma nie pozwalała mu żebrać o najdrobniejszą choćby łaskę Przeciwnie usiadł wygodnie obok księżniczki i ani myślał łamać sobie głowy nad powtórnem zawiązywaniem rozmowy.

Sheriffeh klasnęła w ręce. Na ten znak dwie czarne dziewczyny wniosły niewielki stoliczek z przygotowaną na nim wieczerzą. Kiedy się oddaliły znowu, pomyślał Murad, że jednakże wypada teraz zaprowadzić milczącą żonę do stołu, lecz zanim się zdecydował na to, księżniczka wstała i zajęła sama przeznaczone miejsce. Nie pozostało młodzieńcowi nic innego, tylko naśladować jej przykład i usiąść na przeciwko. Uczynił to bez cienia goryczy ani zmieszania, przeciwnie znalazł nawet parę żartobliwych wyrażeń jakiemi skrytykował własną powolność...

Sheriffeh, powtarzając w myśli wyuczoną lekcję, umierała z obawy, że lada chwila wyrwie się z czemś co rzuci na nią podejrzane światło. Dla tego wolała już milczeć jak mumia

Murad podniósł wzrok i ujrzał drobną białą szczelnie zasłoniętą postać oraz parę najpiękniejszych rączek w świecie zresztą nic więcej. Sheriffeh spuszczała tak uporczywie oczy, że młody małżonek nie mógł rozróżnić jakiej są barwy.

— Może zdejmiesz zasłonę, posilisz się trochę — zaczął nieśmiało.

Nie ruszyła się, nie rzekła ani słowa Młody człowiek choć zmrożony uporczywem milczeniem, nie dał tego poznać po sobie, lecz nadrabiając miną, wziął odrobinę z przygotowanych na stole łakoci.

I znowu długie, zbyt długie nastąpiło milczenie. Sheriffeh odezwała się nareszcie. Melodyjnym choć drżącym nieco głosem rzekła:

— Idę do mego pana i ojca, najpotężniejszego padyszacha. Wam pozwala się także iść za mną.

Murad chcąc naprawić poprzednie uchybienie, zerwał się szybko z miejsca i podał małżonce rękę. Jednakże traf zrządził, że sułtanka czy to skutkiem nieuwagi, czy też przejmującego ją ciągle strachu, schodząc z podwyższenia, zachwiała się i omal nie upadła. Murad chwycił ją silnie za ramię, lecz w tejże chwili, bolesny okrzyk wydarł się z piersi Sheriffeh. Nigdy, niczyja dłoń nie dotknęła jej w tak szorstki, gwałtowny sposób. Młody człowiek cofnął się i zbladł jak ściana. Lecz sułtanka nadspodziewanie szybko przyszła do siebie, pamiętna zaś powtarzanych jej nauk, pomyślała, że wszystko przepadnie, jeżeli teraz właśnie nie skorzysta ze sposobności. Nie patrząc więc na Murada, odeszła ku drzwiom i tu wyprostowana dumnie rzuciła oschłym choć trochę drżącym tonem:

— Tak się ze mną obchodzić nie wolno. Ramię sułtanki to nie sieć, którą się wyciąga z wody.

Nie odwróciła już głowy i zadowolona z dobrze wyrecytowanej lekcji udała się do komnaty, w której padyszach miał po raz pierwszy przyjąć nowozaślubioną parę.

— Gdzie twój małżonek? zapytał sułtan, całując córkę w czoło.

— Nadejdzie zaraz — odparła Sheriffeh, lecz kiedy się nikt nie zjawiał, dodała z pewnym niepokojem. Powiedziałam, że może iść, lecz

widocznie nie zrozumiał... Pozwól ojcze pójdę go zawołać.

— Od tego jest służba — rzekł sułtan i posłał murzyna aby oznajmił paszy Muradowi, iż może się stawić przed obliczem padyszacha.

Lecz pierwszy raz w życiu czekał napróżno, bo w parę minut wrócił czarny z dziwną, najdziwaczniejszą w świecie wiadomością. Oto młody pasza, małżonek sułtanki, wybiegł jak szalony z haremu i nikt nie wie co się z nim stało Biedna Sheriffeh o mało nie padła trupem, lecz obecność służby powstrzymała ją od wybuchu rozpaczy.

Padyszach oddalił wszystkich i z groźną błyskawicą w oczach zapytał córki:

— A teraz może mi wytłumaczysz postępek tego zuchwalca?

Sheriffeh upadła na kolana zanosząc się od płaczu. Długo nie mogła przemówić słowa, wreszcie rzekła:

— Dokuczyłam mu, a on, on uciekł odemnie.

Tu, o ile jej łzy pozwoliły, powtórzyła wiernie szczegóły pierwszego sam na sam z Muradem nie tając ostatniej szorstkiej uwagi a także i tego, że wypowiedziała ją jedynie skutkiem odebranych poprzednio nauk...

— Postąpiłaś jak przystało na córkę sułtana — rzekł padyszach. Murad okazał się niegodnym mej łaski, nie ujdzie więc zasłużonej kary.

Lecz Sheriffeh nie dała dokończyć. Łzy jej i prośby były tak wymowne, że wreszcie i tym razem postawiła na swojem.

Rozkazali więc a raczej padyszach rozkazał, że kto żyw winien na wszystkie strony szukać zbiega, któremu zresztą włos z głowy nie spadnie.

Urocza Sheriffeh przepłakała pierwszą noc poślubną a i następny dzień nie przyniósł jej ulgi. Murad nie pokazał się w domu ojca ani w żadnem z miejsc, w których przebywał dawniej, słowem znikł niby kamień rzucony w wodę.

Pomimo wysłanych na wszystkie strony gońców, żaden z nich nie natrafił na najmniejszy bodaj ślad nowożeńca. Pod wpływem zgryzoty oraz niepokoju księżniczka z dnia na dzień stawała się podobniejszą do cienia niż do żyjącej istoty. Sułtan osowiał także i na całym dworze zapanował posępny przygnębiający nastrój.

— Chyba odebrał sobie zycie — rzekł kiedyś Nassuh Haga, zdając bratu relację z świeżo zarządzonych a bezskutecznych poszukiwań.

— Nie, odparł Ali-bej — znałem Murada lepiej od was, wiem zatem, że nie byłby zdolny do podobnego szaleństwa. Nie ustawaj tylko w zabiegach a jestem pewny, że prędzej czy później musimy go znaleźć.

* * *

Wśród przeróżnych a najczęściej sprzecznych ze sobą wieści, nadeszła nareszcie jedna nad którą warto się było zastanowić. Oto w południowej Anatolii na dworze potężnego beja Karamanu, w czasie zgodnym z dniem ucieczki Murada, zjawił się uderzająco podobny do niego młodzieniec. Wprawdzie wstąpił do służby pod imieniem Ibrahima lecz to nic nie znaczyło. Wkrótce, ponieważ posiadał rzadką podówczas umiejętność czytania oraz pisania, a nawet prócz rodzinnego znał jeszcze dwa obce języki, przeto z prostego dworzanina został sekretarzem beja. Jedna wszakże okoliczność przeczyła tożsamości z Muradem i mieszała Ali-bejowi szyki. Oto głęboko uczony Ibrahim choć słyszał i rozumiał wszystko a nawet, rzecz dziwna, odczytywał i pisał odpowiedzi na listy, sam pozbawiony był daru mowy. Na zadawane sobie pytania, odpowiadał za pomocą znaków lub pisma. Zresztą o ile mógł unikał towarzystwa dworskiej gawiedzi, przestając głównie z bejem.

Po dłuższym jednak namyśle i naradzie z sułtanem postanowił Ali-bej sprawdzić rzecz na miejscu. Pojedzie zatem z dwoma niewolnikami i będzie usiłował jedynie namową skłonić Murada do powrotu. Wszelka przemoc lub siła byłyby w tem położeniu zbyteczne i mogłyby jedynie pogorszyć złe...

— Zważcie bowiem panie — przekładał — że jeżeli młodzieniec tak szczerze przywiązany do rodziców, blizko od pół roku nie daje wieści o sobie, tedy czyni to jedynie dla tego, iż za żadną cenę powrócić nie chce. Do tego czasu musi także wiedzieć, że z waszej strony miłościwy panie, nic mu nie zagraża. Puśćcie mnie więc w drogę a mam nadzieję, że osiągnę pożądany skutek. (Dok nast).

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskego w Gródku.